Lwów, 12 Sierpnia. № 96. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr.. za następ.po 1 ½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO-ŻONA.

Powieść społczesna
przez
Zygmunta Kaczkowskiego.

VII.

(Ciąg dalszy).

A kiedy Kamil skończył swoje opowiadanie i wszyscy tak ciekawy wzrok zwrócili na xiędza, jak gdyby chcieli jeszcze przedtem zdanie jego odgadnąć, nim sam je wypowie, on potarł się ręką po czole, zażył tabaki i tak się odezwał:

— Niezwyczajne to rzeczy i dosyć dziwne, to prawda, ale nie można powiedzieć, ażeby były dla Kamila niespodziewanym przypadkiem. Nie przypadek to, tylko jak naj zupełniej naturalny skutek jego postępowania. Ale to tak jest niestety z dzisiejszą naszą młodzieżą! Nie masz w niej nic tylko dwie skrajne ostateczności: albo brak wszelkich talentów i głowa licha, z której nic nigdy nie będzie, albo przy znakomitych talentach łeb zapalony i pełen najdzikszych fantasmagoryj. O pierwszych nie masz co mówić, ale o drugich warto-by xiążkę napisać. Kierunek ten bowiem. dany umysłom i sercom młodzieży, nie może zaprowadzić do niczego dobrego. Podburzać głowy na poły próżne i niedowarzone, rozpłomieniać serca jeszcze zanadto miękkie i niedoświadczone, jestto to samo, co zapalić knot w lampie, w której jeszcze nie masz oleju. Chwytliwa bawełna zajmie się prędko, ale też i spali się prędko, zostawiając po sobie garstkę sadzy i gorącego popiołu. I cóż z tego, choć-by kto potem napełnił lampę najczyściejszym olejem po same brzegi? Olej ten zmąci się w okamgnieniu, zmięszawszy się z popiołem i sadzą, a lampa już nigdy się nie zapali bez knota!...

— Wszystko, wszystko to prawda mój xięże proboszczu, — rzekł na to pan Łaski, — ale *ante omnia* racz nam z łaski swojej poradzić, co począć teraz? Bo jużciż najpierwej trza myśleć o tem, jak zabezpieczyć osobę? Nie będzie jadł chleba ze szkół, to niechaj go nie je, ale niech-że może go jeść spokojnie z swej wioski. Owóż rzecz najgłówniejsza w tej chwili, nad którą dobrze się trzeba namyślić, bo nuż...

— Zaraz my tu o tem pogadamy i uradzimy, — odpowiedział x. Augustyn i wstawszy wziął pana Bonawenturę pod ramię, wynosząc się z nim do przyległego pokoju.

Jak tylko wyszli, zaraz Szłyk się nachylił ku Kamilowi, ujął go za rękę i rzekł mu:

— Otóż widzisz, że się to jakoś zrobiło — tylko sza! o tem. A zresztą ani włos ci tu z głowy nie spadnie! Co to! quintum diabłum mospanie! nie raz się nie w takich bywało obrotach, a przecie się wyszło i zdrowo i cało. Wojując na Ukrainie pod komendą brygadyera Golejowskiego z hajdamakami, przy jednej potyczce tak'em się wtroczył pomiędzy to uprzykrzone szelmostwo, że mnie całkiem odcięli od moich. Rzucam okiem za siebie, pfe! widzę, że siedzę jak w saku. Jużem zrobił w duchu krzyż święty i pomyślałem sobie: A trza ci to było panie Janie uciekać od jezuitów? Nielepiej-to było wojować z bizunem, niż z spisą? — Lecz jakoś jeszcze się duch mój nie poddał i nuż! jak się rzucę w najrzadsze miejsce z szabliskiem, jak szastnę raz w lewo raz w prawo i jak poprę szkapę przed siebie, ot! i jakoś się wyrąbało. A pod Dubienką, a pod Racławicami także już tuj tuj, że się nie zostało na placu. Bo człowiek był młody i pchał się naprzód jak osa, nie uważając na to, czy jest tam kto w tyle, czy nie ma: ale młody ma także większą wiarę i lepszą fantazyę jak stary, a dopóki ma to oboje, to nic mu nie będzie. Quintum diabłum mospanie! żebym ja był w twoich latach i na twojem miejscu, śmiał-bym się z tego wszystkiego na całe gardło. Coś tam napisał, czy coś tam powiedział! Ou! wielkie rzeczy! żebyś ty słyszał jak ja się nie raz naklął od wszystkich djabłów na całą starszyznę, kiedym się przez całą noc nabrodził po błocie, albo wystał na śniegu i zimnie, to-by ci włosy na głowie powstały: a przecie mi nigdy nic za to nie było, chociaż klałem w głos i w samym środku obozu.

Tak pocieszał stary wachmistrz Kamila, usiłując go uspokoić i wlać weń odwagę; a tymczasem pan Bonawentura ukończył z proboszczem naradę i obadwa powrócili do pierwszej izby. Xiądz Augustyn atoli natychmiast się pożegnał z domownikami i odprowadzony przez nich na ganek, odjechał, przyrzekając nazajutrz na dłuższy czas ich odwiedzić i Kamila o lwowskie nowiny dokładniej wypytać.

Po odjeździe proboszcza przez chwilę panowało milczenie. Pan Bonawentura chodził wielkim krokiem po izbie i zdawał się być zamyślonym, lecz z jego twarzy nie trudno było wyczytać, że się położył w nim jego niedawny niepokój. a na jego miejscu osiadło pewne zadowolenie.

Widać, że xiądz wytłumaczył mu dokładnie ten cały wypadek, który pan Bonawentura uważał za wielkie nieszczęście, i wytłumaczył go na korzyść Kamila. Wszakże Szłyk nie umiał zgoła nic czytać w wyrazach twarzy przy słońcu a tem mniej jeszcze przy dymiącej świeczce łojowej, której nikt nie miał czasu objaśniać. Więc niecierpliwił się bardzo to wyciągając nogę przed siebie, to znowu ją chowając pod stołek, lecz nareszcie zniecierpliwił się do ostatka i spytał otwarcie:

— Więc cóż-eście tam asańswo uradzili?

— Ha cóż? — rzekł na to pan Łaski, — xiądz Augustyn powiada, że nie masz tak wielkiego niebezpieczeństwa, ażeby Kamil nie mógł siedzieć w domu...

— *Victoria* mospanie, — zawołał Szłyk, rzucając okiem pełnem radości na uśmiechnionego w tej chwili Kamila.

— Zwłaszcza że mu właśnie na przyszły tydzień wypada podróż do Lwowa, — kończył ojciec Kamila, — więc tam pochodzi za tem, rospyta o wszystko i będzie się starał jakoś te głupstwa studenckie zagładzić. No! xiądz Augustyn ma znajomości, ma wpływy, więc może jakoś Bóg da...

— Ale pewnie nam da! niezawodnie, — zawołał Szłyk znowu, — bo i czemuż nie miał-by nam dać takiej fraszki? Czy my się Mu uprzykrzamy tak bardzo, czy Go molestujemy o jakieś wielkie rzeczy? Co tam! ufność w nim najpierw' a potem w sobie! Ja tak świat cały przeszedłem wszerz i wzdłuż kilka razy, z piersią zawsze otwartą na kule i ciosy, a i włos nie spadł mi z głowy. Podrapali mnie trochę hajdamaki na kresach, skrobnęła mnie kulka mimochodem pod Arcole, dzióbnęła mnie dobrze pod Lipskiem, ale zresztą nic! A i tego-by było nie było, gdyby człek był nie tak swawolnie sobie poczynał z hajdamakami, gdyby było Francuzisko się nie podepchało podemnie pod Arcole i gdybym był pod Lipskiem stał na swojem miejscu i nie podnosił ze ziemi kolegę, którego nie było już po co podnosić!... Więc tedy Kamilek zostaje bez kwestyi z nami, — plótł dalej gadatliwy staruszek, — otóż tak, tak mi się podoba! Nie masz tego złego, co by nie wyszło na dobre. He he, obaczysz jegomość! co się to z niego zrobi za parę tygodni. Uczyli cię Niemcy rozumu z xiążek, pouczę ja ciebie troszkę bez xiążki. Bo ja na xiążkach nic. U mnie koń, strzelba, kordelas, lasy, pola i góry, szlachta nasza, lud wiejski, to xiążki i pisma; do tego pacierz krótki co wieczór i rano i kazanie x. Augustyna w niedzielę, to cała nauka.

Na to się Kamil dobrodusznie uśmiechnął, a Szłyk tak mówił dalej:

— Śmiej się wasze mospanie, ja ci teraz nic na to nie powiem. Ale za kilka tygodni obaczym, jak to waść będziesz czytał w tych xięgach. Obaczym, czy nie przyznasz sam sobie, żeś dotąd był głupi kompletnie. Bo to nie sztuka czytać to, co stoi wydrukowane, ale poczytaj-no sobie to pismo gdzie co krok to inny alfabet. Pokażę ja tobie prostego chłopa tu we wsi i ciekaw'em co powiesz, jak go przyłożysz do twoich lwowskich doktorów; pokażę ja tobie jedną tu górę w Karpatach, z której sto mil kraju widać na jedną a dwieście na drugą stronę, a ty mi powiesz, która to xiążka wasza pokazuje takie widoki; pokażę ja tobie jedną tu skałę nad lasem, w której są niezgłębione pieczary i lochy, z której lisy wynoszą kości ogromne i czaszki zbielałe a obaczym, czy powiesz nam z xiążek, kto mieszkał w tej skale i czyje to kości? Zaprowadzę ja ciebie w nieprzebrane lasy przed świtem słońca, pokażę ci drzewa pięcio-wiekowe, pokażę ci krzewy takie wielkie jak drzewa, napoimy się powietrzem dzikiego ostępu, posłuchamy ptaszków śpiewających chórami o świcie, popatrzymy z góry na wschód słońca mospanie!... i już mi nic nie mów o tem, mieszczuchu! bo czuję to w sercu, że głupio coś powiesz. Ale ja będę czekał; chodź ty potem sobie sam wszędzie i czytaj, jegomość da tobie strzelbę, da pieski, więc pukaj i baw się, kiedy cię zmęczy czytanie; ale myśl o tem, że ja potem aspana na popis zaproszę, a co to będzie, tom ciekaw. He he he! a cóż jegomość powiadasz? — zakończył staruszek pytaniem, obracając się do pana Bonawentury.

— Owszem, owszem, nic nie mam przeciwko temu, — odpowiedział ojciec Kamila, będąc rad w swojem sercu, że mu przypadek powrócił syna, i poglądając na niego z prawdziwie ojcowską miłością, — owszem, niech sobie odetchnie po tej szkolnej zgniliźnie, niech chodzi wszędzie, niech się obezna ze wszystkiem, co Bóg pięknego wlał w tę wzniosłą karpacką przyrodę, ale lasy... ale sam tak po lasach... ja nie wierzę tym baśniom... bo to zwyczajnie lud głupi, musi sobie coś zawsze wymyśleć.... ale jednakże.... chłopak młody....

— Cóż to za baśnie, mój ojcze? — spytał Kamil ciekawie.

— Baśnie, albo i nie baśnie! — odpowiedział Szłyk na to, — bo słyszałem ja już nie takie baśnie, a przecie się potem sprawdzały.

— Cóż to takiego panie Janie? zapytał Kamil powtórnie.

— To jest, że od niejakiego czasu pojawiły się w tutejszych lasach Dziwo-żony. Na naszem territorium jeszcze ich nie widziano, ale są też w sąsiedztwie, w lasach jeneralskich, i czasem aż nad sam *jar pogański* przychodzą, któren jak wiesz stanowi naszą granicę. Ja sam jeszcze żadnej z nich nie widziałem, raz tylko mi się coś białego mignęło za *jarem*, ale to nie dziwno, bo te panny nie mają żadnego gustu do starych. Ale mało kto jest we wsi, kto-by z nich której nie widział. A pokazują one się różnie. Czasem ubrana czerwono, wieniec z liści ma na gło-

wie, w ręku badyl dziewanny a sarneczkę przy sobie; inna zaś biało od stóp do głowy, łańcuchem kwiatów spowita i z pieskiem się bawi, a nasz Jacek przeszłego piątku nawet widział ją konno i ze skrzydłami na plecach Nie zrobiły one jeszcze nic złego nikomu, ale tak powiadają o nich, że jak jakiś tam ich fest przyjdzie, czy to na świętą Trójcę, czy na Zielone świątki, dużo chłopaków poginie. Bo one łapią chłopców młodych i unoszą gwałtem ze sobą. Quintum djabłum mospanie, mnie pewnie nie wezmą, ale waść czuj ducha panie Kamilu, boś chłopiec dwadzieścia i oko, i gdyby cię obaczyły, to pewnie popadniesz im w ręce, a wiem ja to dobrze, co to wpaść w ręce kobiecie. Quintum djabłum mospanie, jam już był dobrze pod wąsem, a kiedym wpadl w oko jednej jejmości, to w kąt cztery batalie, nimem się od niej odkropił, chociaż-to nie była Rusałka czy tam Dziwo-żona, jeno pospolita szlachcianka.

Wzmianka ta o Dziwo-żonach, mieszkających tuż w lasach sąsiednich, z początku bardzo zajęła Kamila, i myślał nad tem zjawiskiem przez chwilę; lecz kiedy sobie przypomniał to wszystko, co o Dziewannach, Marżannach, Rusałkach Jenżi-babach i Dziwo-żonach czytał w mitologiach słowiańskich i pieśniach ludowych, wpadł na ten domysł, iż nie może w tem nic być innego, jak tylko, że znajome podanie o Dziwo-żonach z Tatrów przeplantowało się przypadkiem w tutejsze Karpaty i zlawszy się z miejscowemi podaniami o dawnych boginiach, tutaj uwiązgło pomiędzy ludem. Tak czasem ziarna nieznanych krzewów, zniesione ze stref dalekich przez ptactwo wędrowne, wschodzą i wyrastają na naszej ziemi, a znalezione przez chciwych nowości i nieoględnych uczonych stają się dla nich źródłem najdziwaczniejszych wniosków, nowe tylko zasiewających obłędy. Ale młody filozof, lubo także nie pomału był chciwym nowości, w rzeczach nauki nie łatwo się dawał uwodzić pozorom, opatrzony zaś hojniej rozumem przeczącym niżeli twórczym umysłem, rad chwytał za każdą sposobność, w której mógł czemuś dawnemu zaprzeczyć; — więc i tu chwycił za nią, całą Szłyka legendę od razu u siebie obalił i przeszedł myślą do innego przedmiotu.

Tymczasem z Dziwożon przeszła rozmowa na miejskie nowiny, o które obadwa starzy jeszcze nie mieli dotychczas czasu zapytać, a że tych nowin było nie mało a starzy, jednostajnością wiejskiego życia znudzeni, bardzo byli ciekawi, więc bardzo długo jeszcze filozofa pytaniami męczyli i ledwie o północy dopiero zgasło światło w dworku pana Bonawentury. (C. d. n.)

Słoń w łaskach.

Słoń popadł w łaskę u lwa jegomości,
O czem gruchnęła wieść po całym lesie,
Cóż ztąd? Oto każdemu zaraz dociec chce się
Za co mógł takiej dostąpić godności?
Zapewne nie z dowcipu, ani ztąd że ładny,
Bo co za postać gruba! jaki ruch niezgrabny!
Tłumaczą sobie źwierzęta.
—„Gdyby przynajmniej (rzeknie pan lis wiercipięta,)
Miał taką kitę jak naprzykład u mnie;
Rzekłbym, że wybór wypadł nań rozumnie."
—„Albo gdyby miał takie jak moje pazury,
(Ozwie się niedźwiedź ponury)
Godność jego tak wysoka,
Nie raziłaby nam oka.
Ale on bez pazurów, to rzecz nam wiadoma!"
— „Czy nie popadł on w łaskę swemi kłami dwoma?
Rzeknie wół: kto wie? może wzięto je za rogi?"
Aż tu przerwie mu osieł kiwając uszami:
—„Nie baj no mój kumie drogi!
Co mu pierwszeństwo daje dziś nad nami
I dla czego tak się puszy,
Ja odgadłem przyjaciele
Nie myśląc wiele.
Dla tego on w tych łaskach.. bo długie ma.. uszy.

A. P.

Michał Lermontow.

(Dokończenie)

Ztąd owa gorycz i drażliwość umysłu jego, przez co nieraz mimowolnie odtrącił najlepszych przyjaciół, i na wiele pojedynków się naraził, z których pierwszy odpokutował w kazamatach fortecy, a z powodu ostatniego tak zawcześnie z tego świata zeszedł. Nie wiedzieć istotnie co było powodem tego ostatniego pojedynku. Jedni utrzymują, iż nieostrożne dowcipkowanie jego; inni mówią, że Martynów dla tego go wyzwał, iż czuł się obrażonym uszczypliwemi ustępami powieści Lermontowa „Bohater naszych czasów," które miały się sciągać do familii tegoż Martynowa. Glebow, który zamknął powieki przyjacielowi swojemu, przeszytemu kulą, utrzymuje iż ostatni domysł jest prawdziwy. To pewna, że Lermontow, jak siebie w wspomnionej powieści dzikiemi odmalował barwami, tak może i inne osoby tam figurujące tak naturalnie odrysował, że nie trudna było prototypy ich wynaleźć. Dziwna rzecz! że właśnie w tej powieści która miała być przyczyną jego śmierci, Lermontów opisuje pojedynek, całkiem podobny do tego, w którym sam zginął. Z przeświadczenia był on nieprzyjacielem pojedynków, ale gdy go przymuszono, to ani robił igraszki z tego, ani się dał na kalekę porąbać. Jeden musiał zostać na placu. Wiedział, iż pojedynki są tylko czynem głupoty albo zaślepienia, potępiał je a nie miał przecie siły wznieść się nad przesądy i języki ludzi, którymi w głębi duszy pogardzał. Wiele takich sprzeczności znajdujemy w charakterze jego, ale dają się one za nadto wytłumaczyć z owej nielitościwości, z jaką go wtrącono w kazamaty i na Kaukaz wygnano. Zresztą przy osądzeniu wielkiego męża nie można za miarę brać własności jego, które ma wspólne z każdym innym śmier-

telnym, ale właśnie te, co go od tłumu rozróżnia ją i wysoko nad niego wynoszą.

Lermontów, jako potomek arystokracyi rossyjskiej, miał wszystkie błędy młodego jej pokolenia,ale miał i zalety których młodzieży rossyjs kiej brakuje.

Najrzetelniejszy obraz jego mamy w utworach jego; tam on się odbił, całkowicie. Ale nie bierzmy tego ze złej strony; jeśli się maskował, to nie czynił tego w złej myśli. Był nieszczęśliwy, ale, i za dumny, aby to ukazywać przed światem.

Chcąc należycie ocenić wartość utworów Lermontowa, musimy zwrócić uwagę na los jego, na wpływ miejsc i ludzi, śród których wydobywały się czarowne jego pieśni. Mylił by się bardzo, gdyby kto przy osądzaniu, do którego rodzaju poetów Lermontów należy, z tego, co się właśnie powiedziało, wnioskował, że jest poetą podmiotowym. Z drugiej strony nie można go znowu do poetów przedmiotowych liczyć. Lermontowa nie można ani w tę ni w ową ramę tych ciasnych, do sławiańskich wieszczów wcale nie przypadających pojęć szkolnych ująć. Prawda, że w niektórych pieśniach całkiem się odbija, jego portret jasne barwy i cienie charakteru jego, prawda, że w powieściach wprowadza bohaterów, którym na usta i w serce własne swe myśli i uczucia kładzie, jako w «Chłopcu czerkieskim Ismael Beju» i t. p. ale z drugiej strony już jedna pieśń o carze «Jwanie Wasylewiczu» udowadnia, że w geniuszu Lermontowa wszystkie czynniki do przedmiotowego obrazowania się łączyły.

Lecz nie dano mu na to ni czasu ni swobody. Ztąd rozwinął się w utworach jego ów amalgam poezyi; epiki, obok liryki, czyn obok refleksyi, szyderstwo obok powagi, spokojne kształtowanie plastyczne klassycyzmu obok tej namiętności i ironii człowieka – młodzieńca z czasów teraźniejszych, ów, mówimy, amalgam poezyi, którego pierwszym mistrzem arcykapłanem był Lord Byron. Ale w Lermontowie jeszcze więcej przeważa żywioł demoniczny, niż w Byronie, choć żywioł ten jest naturalniejszym. Byron miał do walczenia z nienaturalnością, faryzeuszostwem i kuglarstwem, na co prorocy i mędrcy wszystkich czasów i krajów narzekali. Byron mógł śmiało w obec świata podnieść swój głos, zbijać przesądy, demaskować hipokrytów, i kłam jasnym mieczem prawdy obalać; on był synem Anglii. Lermontów tego wszystkiego uczynić nie mógł, bo był poddanym Rossyi.

Lermontów ma to wspólne z wszystkimi wielkimi poetami, że w utworach ich jak w źwierciedle odbija się najwierniej wiek ich, z wszelkiemi dobremi i złemi przymiotami, mądrością i ślepotą, i że oraz wiele się przyczyniają do zwalczenia tych złych przymiotów. Ale tem się odróżnia znowu od wczystkich poprzedników i spółczesnych, że pierwszy tak wielkie otworzył pole opisom przyrody, w którym względzie dotychczas niedościgniony został. Zadość uczynił badaczom przyrody i estetykom. Weźmy pierwszy lepszy większy poemat Lermontowa, który odbywa się na Kaukazie, a poznamy lepiej charakterystykę tych gór,lasów, aułów, stepów, dzianettów i wolnych ich mieszkańców i panów, niż z najczulszej i najdokładniejszej geografii lub opisu podróży.

Lermontow, czy patrzy ku niebu, czy po ziemi, zawsze pewną stopą stoi na ziemi. Owe mgliste, mdłe fantazowanie lub wybujałość, podobna do widzeń w gorączce leżącego, nie znane mu są. Przy tem miał wielki dar spostrzegania i badania serc ludzkich i językiem zupełnie władał. Ztąd owa nadzwyczajna prawdziwość, świeżość barw siła wyrazów w jego utworach. Ztąd owe mistrzowskie oddanie uczuć w lirycznych jego poezyach. Jak promień słoneczny, natchnienie rozświeca nagle ponure głębie jego geniuszu, skupia myśl i uczucie w jedno ognisko, i pieśń najcudowniejszą wydobywa się harmonią.

Tyle o ogólnem stanowisku, jakie Lermontow między wieszczami zajmuje. Chcąc go ocenić jako poetę rossyjskiego, musimy zauważać, że tam się w najjaśniejszem świetle geniusz jego rozpromienia, gdzie utwory jego najwięcej są treści narodowej. Tak się zagłębił w ducha narodu, tak go pojął doskonale i oddał, że nawet tam, gdzie obyczajowość rossyjska zupełnie się odróżnia od innych, bez najmniejszych komentarzów pojąć, rozumieć go można. Tak n. p. w pieśni o carze Iwanie Wasylewiczu, w której nietylko treść ale i sama miara wierszu, zupełnie się różni od innych. Zdaje się nam, że przez jakieś czary nagle o paręset lat przeniesieni w tył, czujemy, myślimy, działamy razem z przodkami Rossyjan, którzy o całą przepaść różnili się od dzisiejszych. Obok pieśni o *carze Iwanie Wasylewiczu* piękne są jego inne utwory, jako to: *Chłopiec czerkieski Ismael Bej* i t. d. Które z nich piękniejsze?... trudno ze stanowiska zimnego krytyka i niepodobna nawet odpowiedzieć. Wszędzie przebija się zarówno potężny geniusz poetyczny. Jak zwykli ludzie tak i krytyk może chyba powiedzieć: «To mi się lepiej podoba«.

Lermontow kształcił się na Puszkinie i naszych wielkich wieszczach. Potęga tych geniuszów za nadto była wielką, aby się można było oprzeć jej wpływowi, szczególnie, gdy uderzyła o umysł tak silny, pojętny, do wszystkiego co wielkie i piękne i prawdziwe pochopny jak Lermontow. Ale niebył on naśladowcą prostym. On tworzył samodzielnie. Przejął od nich tę szlachetną prostotę wyrazów, silną zwięzłość i cudowną budowę form. Ale są to same zewnętrzne pojawy, więcej przypadkowe. Ogromny ujrzymy przedział między Lermontowem a szczególnie Puszkinem, wziąwszy pod rozwagę treść utworów ich obydwu i kierunek ich życia.

Środki do wykształcenia oba mieli prawie jednakowe i śród tych samych prawie okoliczności się rozwijały ich geniusze; ale rozwój ich zupełnie inny. Oba musieli pokutować za pierwsze utwory swoje, na wygnaniu. Puszkin wrócił... Lermontow umarł na wygnaniu. Puszkin znalazł

jakoś ścieszkę do pojednania i porozumienia się z ludźmi, których prawie fanatycznie potępiał, którym wieczną nienawiść poprzysiągł. Lermontow takowej ścieszki nie znalazł, ani szukał jej. Oskarżano Lermontowa, jakoby zaślepiony zarozumiałością, nie kochał ojczyzny swojej. Ale jak sam Lermontow o sobie powiada, kochał on ojczyznę swoją:

Kocham ojczyznę; nie jak wy!...' inaczej,
Was serce, rozum mnie nie przeinaczy.
Czy na was patrzę, czy na wieków cienia,
Dla barbarzyństwa nie czuję natchnienia.
Ja nie miłuję krwią zbryzganej sławy,
Ni świętokradzkiej dumy, groźnej, dzikiej,
Olśnionej blaskiem, opartej o sztyki. *)

Puszkin się nauczył, sławić tę ślepą dumę. Lermontowi do tego za świętą i poważną była poezya. Jak głęboko czytał w sercu ludzkiem, jak trafnie pojął swój wiek i Rossyanów, świadczy ów przecudny ustęp:

Smutny spoglądam na dzisiejsze plemię,
Jak za dojrzałość sztuczną pokutuje,
Rwie go zwątpienie, ciśnie wiedzy brzemię,
Gdy spojrzy w przyszłość... i na swoją ziemię.

Lermontow był poetą dla siebie, był wieszczem dla narodu swego, ale nie występywał przed tłumem. On śpiewał, gdy chciał harmonią z innego świata przygłuszyć oburzenie i boleść swoją. Dla tego też sam bardzo mało z swoich utworów wydał, i te mu nawet wydarli przyjaciele. Przyczyny tego nikt nie wie, może dałoby się poczęści wytłumaczyć z jego wierszu:

Gromy cenzura na mą rękę ciska,
Z tworów skończonych zostawia zwaliska.

*) Działa i bagnety.

Galerya wodzów w teraźniejszej wojnie.

13) Churszyd Basza, (hr. Ryszard Guyon).

Turecki dowódzca w małej Azyi.

Guyon jest Anglikiem. Ojciec jego służył w marynarce królewskiej, a w roku 1815, kiedy mu się ten syn urodził, był kapitanem pocztowym. Bardzo młody, bo zaledwie lat 15 mając, wstąpił Ryszard Guyon do wojska austryackiego; było to w roku 1830, gdy zanosiło się na wojnę. Nadzieja, iż w tej wojnie udział wziąć będzie mógł, miała go skłonić do tego. Guyon służył w pułku węgierskim, lecz nie długo trwała ta jego służba. W domu feldmarszałka - porucznika bar. Splenyj, w który go wprowadzono, poznał nadobną córkę gospodarza domu, ożenił się z nią i wystąpił ze służby. W Węgrzech kupił sobie dobra, sam w nich gospodarstwo prowadził i żył długi czas jedynie w kole rodziny i przyjaciół. Zajmując się gospodarstwem, poznawał ludzi rozmaitego stanu, lecz języka węgierskiego nie nauczył się dokładnie, chociaż po niemiecku płynnie mówił. Jeszcze przed rokiem 1848 dzienniki węgierskie wymieniają często Guyona, jako wspieracza nacyonalno - ekonomicznych planów Pulskiego.

W roku 1848 jako major batalionu honwedów, Guyon miał udział w bitwie pod Szwechat, która się skończyła zwycięztwem wojska austryackiego, a haniebną ucieczką węgierskich powstańców. Wszyscy uciekali w największym nieporządku. Nawet Görgey w raz z swymi Honwedami równie jak inni, bez tchu prawie dostał się za Lejtę. Tylko jeden batalion Honwedów cofał się w największym porządku, dotrwawszy do końca na placu bitwy. W najmocniejszym ogniu krzyżowym stał Guyon na czele tego batalionu a gdy konia pod nim ubito, walczył dalej pieszo z pistoletami w ręku. Porządnym odwrotem przyczynił się do zasłonienia uciekających.

Bitwa pod Szwechat miała być przyczyną zawiści między Görgeyem a Guyonem. Ten ostatni nie mógł tego zapomnieć, iż Guyon więcej się od niego odznaczył. Usposobienie to okazuje Görgey w dziele swem: *Mein Leben und Wirken in Ungarn*. Gdzie tylko Guyona wspomina, wszędzie dodaje uwagę, iż Guyon miał serca, odwagi wiele, ale głowy nie miał, że był walecznym, ale w każdym innym względzie niezdolnym oficerem. Nie naszą jest rzeczą roztrząsać zdanie Görgeya, to tylko powiedzieć można iż istotnie Guyon odznaczył się po kilkakrotnie szaloną odwagą, wielkich zaś strategicznych zdolności nigdzie nie okazał.

Gdy powstańcy posuwali się z Debreczyna do Pesztu, Guyon mianowany został komendantem twierdzy Komarna. Forteca była ściśle cernowana, a usiłowanie, przekraść się przez linię oblegających było, osobliwie dla dowódzcy, szalone. Na czele 20. huzarów, przebywszy szereg awanturniczych przygód, dostał się jednak szczęśliwie Guyon do fortecy. Później zdać musiał zdolniejszemu Klapce dowództwo. Görgey odsunął go od czynnej służby i polecił mu formowanie rezerwy. W ostatnich walkach był znowu na placu boju. Po bitwie pod Temeszwar Koszut utrzymywał, iż Dembiński zwyciężył, Görgey zaś przeciwnie. Gdyby się wiadomość pierwsza była potwierdziła, Görgey miał dalej walczyć, w przeciwnym razie broń złożyć. Wtem nadszedł urzędowy raport w którym Guyon sprawę zdawał, nagą prawdę odkrywając, iż gdy siedmiogrodzka armia Bema już dawno istnieć przestała, powstańcy pod Temeszwarem na głowę i bez żadnego ratunku porażeni zostali. Po otrzymaniu tego raportu nastąpiła kapitulacya pod Villagos.

Po wejściu do Turcyi Guyona, który się nigdy prawie polityką nie trudnił, lecz tylko jako żołnierz brał udział w powstaniu, wstąpił do wojska tureckiego, został mianowany Baszą i przybrał nazwisko Churszyd. Przyjaciele Guyona utrzymują, iż on jest jedynym wychodźcą, którego przyjęto do wojska tureckiego, niezmuszając go do przej-

ścia na Islam. Być to może, bo istotnie i admirał Slade (Muszaver Basza,) choć służy na flocie tureckiej, nieprzyjął Islamu. Dla Anglików Turcy są względniejsi.

Churszyd Basza otrzymał dowództwo w Damaszku a później w Aleppo. W r. 1850, gdy w Syryi wybuchły niepokoje tak przeciwko reformom sułtana, jak i przeciw chrześcianom, w Damaszku miało być ognisko powstania. Ale Guyon wczesnem zajęciem stanowisk dobrych, tak odstraszył spiskowych, iż żaden się nie ruszył. Powstanie wybuchło w Aleppo, a miasto opanowali fanatycy. Skoro wiadomość o tem doszła do Damaszku, Churszyd Basza na czele 3C00 ludzi w pospiesznych pochodach stanął pod Aleppem, po 3dniowej rozpaczliwej walce i zaciętym oporze zdobył miasto z bronią w ręku i przywrócił porządek.

W tej chwili znajduje się Guyon na czele 30000 ludzi pod Kars, w małej Azyi, wysłany tam dla zreorganizowania kilkakroć przez Rossyan pobitych wojsk tureckich.

Rozmaitość.

*** Z nad ujścia Wisłoki.** Kiedyż my się bawić przestaniemy? Pytanie te zadał korespondent ze Lwowa pisząc do «Czasu» o życiu literackiem we Lwowie. Redakcya Feuilletonu zapewne aby dać dowód, że nie chce swoich czytelników *bawić,* w parę dni wydrukowała powieść pod napisem **„Szara godzina."** Nie ulega wątpliwości, że kto tę powieść przeczytał, zabawić się nie mógł, ale jakież za to ón tam obrazy obaczy! Co za wzniosłe charaktery! Jaka szczegółowość w opisach!

Ten książe co to lubo dwie żony pochował: (kto wie może ich miał i więcej, bo tylko wspomina o ślubie «mojej pierwszej żony») a jednak pamięta najmniejszy szczegół uwiedzenia młodej dziewczyny! Ta *wybrana* jak ją autor zowie, o której tyle tylko wiemy, że urodziła się, zwarjowała, i umarła; jakaż to wzniosła heroina powieści!

A potem jeżli by można zarzucić temu księciu: brak czucia, egoizm, lekkomyślność i t. p. to przynajmniej trzeba przyznać, że ma zdrowie nie lada i piersi stalowe, bo jednym ciągiem, w przeciągu szarej godziny, potrafił opowiedzieć powieść która 16 Numerów Feletonu Czasu zajęła. Co za cierpliwość słuchaczy!

Gdy teraz księgarnia Czecha wydała powieść tę osobno, żałuję bardzo, że mój sąsiad, nie porozumiał się z wydawcą, gdyż wypracował na wzór Kossaka ilustracye, z najbardziej zajmujących ustępów tej powieści; pozwólcie iż wam je opiszę:

1) Rozmowa w salonie przedstawia 8. osób. Widać że malarz był w ambarasie, bo tylko staruszek, jegomość orderowy, doktór i młody autor oddany tak, że łatwo ich rozróżnić; na mężatce, wdowie, panience i jakiejś bas bleu musiał malarz położyć napisy które widzów o ich własnościach uwiadomiają.

2) Przedstawia salon, książę opowiadacz i główny bohatyr powieści stoi przy oknie, na około niego kilku pieczeniarzy, co zjadłszy dobry obiad, i wypiwszy dobrą kawę, zdają się chcieć przyjęcie wynadgrodzić gospodarzowi podchlebstwem i nadskakiwaniem; książę wypuszcza cybuch z ręki, a Hrabia P. mu go podaje.

3) W bogato przybranem i rzęsiście oświeconym salonie, kilkanaście osób, na przedzie książę w czarnym fraku z różą na pół oberwaną w dziurce od guzika, odpowiada pannie T. Wyraz księcia przedstawia głupotę, to jest niby książę wygląda jak kozieł w kapuście.

4) *Wybrana* osoba niesie tacę z flaszką, noszącą na etykiecie napis: »Anyżówka.» Na tacy leży chleb z masłem, a książę w ubraniu węglarza, wychyla z *gracyą hułana* kieliszek. To prawdziwie nie spodziewane zawiązanie miłośnej intrygi, udało się malarzowi oddać z wielką prawdą.

5) Przedstawia altanę, w niej książę. Wybrana osoba trzyma miednicę i kubek z wodą, książę myje ręce, wybrana osoba polewa, a brudna woda tak naturalnie oddana, że patrząc na ten obrazek, człowiek się lęka, aby biała sukienka wybranej nie potrzebowała praczki.

6) Taż sama altana, książę siedzi bez kapelusza obok wybranej, która mu rozgarnia włosy. Malarz w tym obrazie oddał z wielką prawdą tę scenę miłości; znać musiał nie w jedną niedzielę lub święto widzieć jak nasze włościanki swym mężom lub dzieciom, miłość w podobnym sposobie okazują.

7) Przedstawia doktora w szlafmycy i w szlafroku, trzyma ón w ręku świecę, a książę niewyspany siedzi na krześle i opowiada widać z zajęciem zdarzenia miłości.

8) Książę leży w łóżku, w głębi pokoju sypialnego widać zegar wskazujący 3. po południu. widać że książę posłuchał rady doktora.

9) Już znaną altana; książę leży na ziemi a na nim wybrana osoba; znajoma miednica i kubek leży obok nich a zbrudzona woda oboje zakochanych oblewa. W tem rozwiązaniu intrygi przewyższył malarz autora.

10) Ten sam salon co w drugim obrazie; książę siedzi, a koło niego karafka wody z cukrem, a obok audytorjum z na pół pozapalonemi cygarami, śpią w jak najlepsze i tylko po księciu widać, że jeszcze nie spi, bo rad iż tyle zaszczytu mu przynoszące zdarzenie potrafił opowiedzieć. Przez otwarte drzwi salonu wchodzą lokaje w liberyi, niosąc stoliki do kart i marki do preferansa.

Mój sąsiad malarz niespodziewając się osobnego wydania: *Szarej godziny,* darował te ilustracye siostrze, która od jakiegoś czasu na brak snu zachorowała. Ona je rozwiesiła w sypialnym pokoju i jakoś teraz Morfeusz ją częściej nawidza.

*** Z nad ujścia Wisłoki**, dnia 4. sierpnia. Lat temu kilka, kiedy cała Europa zachorowała na gadatliwość, i nasza prowincya liczyła wielu bardzo mowców. Otóż jeden z tych Demostenesów zwykł był każdą swą mowę następującemi zaczynać słowami:

„Obywatele! Prawdziwie nie wiem co mam powiedzieć!»

Te słowa mógłbym i ja na czele mojej dzisiejszej korespondencyi umieścić, bo cóż chcecie aby wam biedny ruralis donosił? Zawsze jedna i ta sama śpiewka, bieda, kłopotu po uszy, tem bardziej wczasie żniwa, które nigdy tak leniwo nie szły jak teraz. Radbym żeby jaka polityczna ekonomia mnie nauczyła, czemu to przypisać, iż czem większa nędza dotyka wieśniaków, tem opieszalsi są w pracy! Woleli oni od wiosny umierać z głodu, jak iść na zarobek, który oczywiście wszędzie dobrze był płaconym. Tej to niezrozumianej apatii należy przypisać wiele szkody w sianie, którego dla braku ludzi zebrać nie można było. W wielu miejscach ziemniaki dotąd nie okopane, a dziś lubo głód minął, lubo wyżej daleko jak w latach ubiegłych się płaci, zboże spada w polu, bo ani daj Boże sąsiadow uprosić!

Pszenice, grochy i owsy u nas są ogólnie piękne, żyta nieco gorsze, ale jęczmień gorzej jak mierny, kukurydza nie poschodziła; niektórzy na tem polu zasiali proso, ale na nich się podobno sprawdzi przysłowie:

«Kto sieje proso
»Ten chodzi boso."

Bo i licho zeszło i dla braku rąk nie można go było z chwastów oplewić.

Ceny zboża wysokie, ale niestety nie dla producentów. Służą one tylko liwerantom do cesarskich magazynów. Kto zaś u nas jest

liwerantem każdemu wiadomo, i pomimo wielkich postępów jakie Galicya w tych czasach uczyniła, w tym punkcie niema równouprawnienia.

Brodate liweranty bajecznie bywają płaceni, ale producent biedny z tego nic oblizać nie może. Sądząc, że ten talizman w brodzie zawarty, szlachta jak drugie Samsony pozapuszczała brody, ale to nic nie pomogło!

Spytacie może dla czego?

1) Że szlachta nie mogła mieć przy dzisiejszej jej biedzie zapasów starego zboża, bo każdy wie, że szpichlerz szlachecki na wiosnę wygląda jak w wielki piątek sala redutowa.

1) Że szlachta nie wiedziała, iż nowe zboże można będzie po takich samych jak i stare cenach do magazynów dostarczać, gdy tymczasem liwerantom na 5. miesięcy układy potwierdzono.

3) Że największa ilość szlachty, na żniwa, młockę, podatki i t. p. wydatki, potrzebuje wcześniej grosza, a u nas kredyt należy do białych kruków, bo wszyscy co mają pieniądze w czarnych racimorach chodzą.

4) Że lubo są między szlachtą tacy, co mając większe majątki i kapitały, mogli utworzyć falangę przeciw racimorom, ale znać, że już dawno nie widząc holenderskich dukatów, zapomnieli o wyrytej na nich dewizie, która brzmi: «*Concordia parvae res...*» (Bóg świadkiem że i ja całkiem złota nie widząc, zapomniałem końca tej dewizy, bo choć ją drukowaną niedawno czytałem, ale jakoś papier nie czyni takiego jak złoto wrażenia.) Otóż jak mówię szlachta i o dukatach i o concordii zapomniała.

5) Gdyby jednak, jak to szanowny paragraf ze Lwowa w Nrze 174 Czasu z Sanockiego przytacza, znalazł się ktoś taki co liwerunki, by na siebie odebrał, nie dałby sobie rady, bo choćby po sam pas brodę zapuścił, nie umiałby pojąć ducha tego handlu, o którem wolę tak uczynić jak Krasicki zrobił z Ryczywołem!

Koniec końców w skutek tych operacyj, powstaną nowi familianci a szkoda, że dzieciom Izraela nie wolno teraz dóbr kupować, boby nam przybyło wielu racimorowych dziedziców.

O wylewach Wisły i Wisłoki czytaliście w Czasie krakowskim. Naszą okolicę po niżej ujścia Wisłoki od zupełnej klęski wybawiło przerwanie wału na stronie Królestwa Polskiego, przez co na dwa koryta podzielona woda niemogła nam tyle zaszkodzić.

Kończę tę korespondencyą, bo właśnie odebrałem »Czas« z poczty a wiecie, że Czas teraz dużo czasu potrzebuje, bo wychodzi w większym formacie, a lubo dodatki przestał wydawać, na czwartej stronnicy powiększonego formatu znajdziesz zawsze pełno interesujących nowin o rewalencie, cukierkach, Army Razors, Goldmanach i tym podobnych narzędziach.

*** Przygoda Cesarza Mikołaja.** Rossyjski monarcha przybył w roku 1828 do armii, która po 62 dniowem oblężeniu Warnę zdobyła. Po kapitulacyi tej warowni udał się on z swoim bratem W.K. Michałem i kilkoma jenerałami dnia 14. października 1828 r. na liniowym okręcie «Cesarzowa matka« do Odessy. Hr Nesselrode, jego kancelarya i obcy posłowie, którzy wówczas do głównej kwatery przybyli, płynęli na «Pantalemonie» za okrętem Cesarza. Lecz, zaledwie z przystani wyruszyli, zerwała się okropna burza, która oboma okrętami gwałtownie miotać poczęła. Czarne chmury zaćmiły widnokrąg, gęsta mgła się spuściła, i oba okręty straciły siebie z widoku. Bałwany się piętrzyły i przerzucały z taką gwałtownością, że maszty i sztangi żaglowe na drobne kawałki potrzaskały. Ciemność nocy powiększyła i tak już okropne zamieszanie na cesarskim okręcie. Zaświtało nareszcie, ale mgła ciągle była tak gęsta jak w dniu poprzednim. W nocy drugiego dnia już się poczęto lękać, aby okręt nie był zapędzony na brzegi tureckie, zaczemby Sułtan pewnie burzy błogosławił, że tak miłego i drogiego gościa przyniosła. Na trzeci dzień rano już był okręt w tak lichym stanie, że poczęto narady, czyby nie było lepiej do Bosforu zawinąć i tak przynajmniej życie Cesarza uratować. Lecz wkrótce odrzucono tę myśl i uradzono, na największą ostateczność się narazić, niżby miał samodzierzca Wszech Rossyj sam się ofiarować Sułtanowi jako jeniec. Tymczasem «Pantalemon» z kanclerzem i posłami w jeszcze okropniejszych znajdował się okolicznościach. Bez steru, bez masztów, żywności i zapasów, lada chwila mógł się w czarne otchłanie pogrążyć. Wystawmy sobie hr. Nesselrodego i ciało dyplomatyczne w tych chwilach, gdyż podobnoś, ile ich tam się znajdowało, żaden jeszcze nie był śród burzy na morzu. Zapewnie byliby wtenczas woleli najokropniejsze burze polityczne, byle nie morskie. Rossyanie już odprawiali »modlitwy konających,« polecali się świętemu Mikołajowi, a owinięci w długie płaszcze swoje jak w całuny, leżeli rozciągnięci po pokładzie, nie chcąc już więcej walczyć bezskutecznie przeciw wściekłości orkanu i fal morskich. Dopiero po ośmiu dniach wiatr się ułożył trochę. Okręt, na którym Car płynął, po niesłychanych natężeniach dostał się nareszcie do Odessy, podczas gdy drugi okręt z hr. Nesselrodem i całą świtą dyplomatyczną, która od głodu, zimna i zmęczenia na pół umarła była, później jeszcze zawinął do Sebastopolu. (Podług Journal des Debats.)

*** Pojedynek chłopców.** Dwaj gimnazyaliści czternastoletni posprzeczali się nad pięknością jednej panienki także 14to letniej. Na koniec wyzwali się na pistolety. Wciągnięto do tej sprawki i trzeciego chłopca, syna lekarza, który przyjął obowiązki sekundanta, a na przypadek i chirurga, i miał sobie potajemnie bandaże przysposobić. Wyznaczono czas i miejsce, i umówiono się, że oba przeciwnicy razem wystrzelą. Gdyby oba chybili, to mają się pogodzić; gdyby oba ranni zostali, to ma sekundant rany opatrzyć. Między sobą atoli jeszcze przeciwnicy umówili, że gdyby jeden zginął, to drugi sam się zastrzeli. Zaprzysiężono sobie zresztą tajemnicę zupełną. O wyznaczonej godzinie stawiają się oba, i sekundant z bandażami. Obliczono kroki, opatrzono pistolety, przeciwnicy rozstawili się. Na komendę sekundanta wypalili oba, i .. oba upadli. Sekundant rozpacza, widzi jak jednemu malcowi krew płynie z ramienia, pospiesza mu na pomoc, a drugi, którego czapka o kilka kroków odleciała, jak bez duszy leży na ziemi. Zaprzątniony opatrzeniem pierwszego, pojrzał przypadkiem z boku na drugiego i postrzegł, jak ten się zerwał na równe nogi i pistolet do ust przyłożył. Przelękniony pędzi do niego, i podczas gdy mu ledwie pistolet z rąk wywinął, już ów ranny, ocknięty krzykiem z omdlenia, ocucił się i także na równe nogi skoczył. Wypatrzył się malec na malca, oba się rozpłakali i najserdeczniej uściskali. Temu drugiemu kula tylko czapkę zerwała, lecz z przestrachu upadł. Ale przyszedłszy do zmysłów, chciał się wywiązać z danego słowa, skoro ujrzał, że tamten leży zabity. Skończyło się tymczasem tylko na przestrachu.

* Z rozmaitych dzieł o Chinach, których bardzo wiele napisano od czasu, jak parowce angielskie zbliżyły do Europy *Niebieskie cesarstwo,* a Anglicy przechodzą się z cygarem w ustach po ulicach Kantonu, Hong-Kong, Singapoor i Kalkucie; ze wszystkich mówię podróży po Chinach, żadna nie zawierała szczegółów tak pożywnych, tak oryginalnych obrazów, a mianowicie też pisaną nie była z tak praktycznego stanowiska, jak dziennik pana Itier. Obyczaje, historyą naturalną, rolnictwo, handel, objął zarówno w swem dziele, i obrobił z zadziwiającą specyalnością. Dla tego polityk, uczony, kupiec czy rolnik, czytać go będą z równem zajęciem.

Oto jedna scena z życia domowego Chińczyków, opowiadana panu Itier przez amerykańską damę. Maluje ona wybornie chińskie kobiety, prawie dotąd nieznane w Europie.

«Pani H. z dwiema przyjaciółkami udała się w odwiedziny do jednej z dam chińskich. Ta, ponieważ oddawna pragnęła poznać

Amerykanki, przyjęła je z wszelkiemi oznakami najwyższego zadowolenia.

Płeć męzką starannie na czas odwiedzin usunęła z domu gospodyni, wedle zwyczaju narodowego, który surowo przestrzega schodzenia się płci obojga w towarzystwie. Kobiety widują się tylko same między sobą, i mężczyzni także.

Towarzystwo więc składało się z 15tu kobiet, to jest: trzech Amerykanek, gospodyni domu prawej żony mandaryna, drugiej i trzeciej jego małżonki, córek i siostrzenic. Wszystkie te chińskie niewiasty zdawały się żyć społem w najlepszej harmonii. Sam to już nieraz zauważałem, że w Chinach kobiety wcale nie są tak zazdrosne jak nasze. Żona prawa, jeżeli tylko jest panią u siebie: ma wygódki i należny szacunek, i nie dba wcale, co robi mąż nietylko po za domem, ale nawet w domu.

Niezadługo podano obiad, składający się chińskim obyczajem z mnóstwa maleńkich półmisków, nałożonych mięsną siekaniną, z ciastek i zupy z gniazd jaskółczych. Po zupie damy chińskie zaczęły gęsto wychylać kubki napełnione tak zwanym Sam-chon. Jest-to po prostu gorąca wódka z herbatą, której nasze panie przełknąć nie mogły. Tak niesłychanie mocnym i palącym był ten trunek, że zaledwie go do ust przytknęły, poczęły się krztusić; co dało powód do żartów i wesołości damom chińskim, które już dobrze podchmielone gorącym napojem, śmiały się z nich do rozpuku.

W końcu obiadu wesołość przebrała miarę, a cybuchy przez wodę ciągnione, które podano w środku obiadu, upoiły ich do reszty. Damy chińskie zaciągnąwszy się dwa lub trzy razy tytuniowym dymem, oddawały fajki posługaczkom, żeby je na nowo nakładały, i tak paliły bez końca.

Wkrótce wesołość i gestykulacya doszły do najwyższego stopnia; pytania zadawane Amerykankom stawały się coraz niedyskretniejsze. Twarze kobiet naszych przezroczystej białości, mocno zaciekawiły Chinki, które przypuścić nie mogły, żeby to była ich naturalna cera. Tarły więc co siły ręce ich i policzki zmaczaną w wodzie chustką, ażeby się przekonać, iż żadnych na skórze nie miały malowideł. Jak wiadomo, kobiety chińskie farbują sobie policzki karminem, usta ponsem, brwi i rzęsy tuszem, czoło zaś i szyję białą pociągają farbą. Podziw już nie miał granic, skoro jedna z Amerykanek zdjęła rękawiczki, które im wydawały się jej własną skórą. Wyrywały sobie owe rękawiczki, zowiąc je trzewikami na ręce, i podawały jedna drugiej; nareszcie z zapałem poczęły całować nasze kobiety, chwaląc, że takie piękne i tak się sztucznie ubierają. Nie wiadomo, na czemby się skończyły te wybuchy czułości, gdyby Amerykanki zaraz po obiedzie nie pożegnały zbyt uprzejmej mandarynowej, z wielkim jej i całej rodziny żalem.

* Dziennika literackiego Ner 31. zawiera: 1) Miorsz czyli Dzierzwa jest-li pisarzem XI. albo przynajmniej XIII. stólecia? przez Karola Szajnochę. (Ciąg dalszy). 2) Treść historyi języka rossyjskiego, wedle źródeł rossyjskich. (Dokończenie). 3) Bojar Orsza, poemat Lermontowa. (Ciąg dalszy). 4) Wincenty Kruszewski. (Ciąg dalszy). 5) Ksiądz Mateusz Bembus i pisma jego, przez Stanisława Przyłęckiego. (Dokończenie). 6) Korrespondencya z Krakowa (Ciąg dalszy).

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Komoda. 2. Parawany. 3. Tulipany. 4. Należycie.**

Szarady przez W. Ł.

1. Choć pierwsza i trzecia zarówno daje,
Pierwsza razem z drugą niema nic zgoła,
Wszystko zaś tem nieprzyjemniejszem się staje,
Im częściej wychodzi z zwierzchników koła.

2. Jak pierwsze z trzecim, możnych nazywamy
Na drugiem zaś z trzeciem berłem władają,
Całe w kościołach wszyscy uwielbiamy,
A żołnierze do walki upotrzebniają.

3. Pierwszem i trzeciem gdy pełne nie wzgardzimy,
Drugie z trzeciem niezbędne dla gospodyni,
Wszystkim zaś wraz słusznie się chełpimy,
Bo to imię Polski bohatera czyni.

Przyjechali od dnia 9. do 10. sierpnia do Lwowa:

PP. Hordyński Jan, z Przemyślan. Widman Karol, z Brzeżan. Komar Seweryn, ze Złoczowa. Nowosielski Ludwik, ze Zbora. Strzelecki Jan, z Komarna.

PP. Wereszczyński Mikokaj, z Krakowa. Dobrzański Stanisław, z Daszawy. Strzelecki Jan, z Kukizowa. Dokupil Jan, ze Żółkwi. Okornicki Felicyan, z Rozdołu.

Wyjechali od dnia 9. do 10. sierpnia ze Lwowa:

PP. Kowalski Andrzej, do Podhorek. Walter Leopold, do Dobromila. Ebner Rudolf, do Brzeżan.

PP. Komar Seweryn, do Złoczowa. Janiszewski Bonifacy, do Mikołajowa. Zborowski Prosper, hr. do Bartatowa.

Lwów 11. sierpnia.—Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 27 złr. 30 kr. do 30 złr. 30 kr. — Żyta po 19 złr. — kr. do 22 złr. 30 kr. Jęczmienia po 16 złr. — kr. do 19 złr. 30 kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 19 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 7 złr. 30 do 8 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 24 złr. 15 kr. do — złr. Sosnowego po 22 złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. — kr. do 2 złr. 7. kr. Centnar słomy 1 złr. 18 kr. do 1 złr. 30. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 2 Złr. 7 kr. m. k.

Kurs telegrafowany z Wiednia 11. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	102.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$122\frac{7}{8}$.	Medyolan za 300 lirow	$120\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$144\frac{5}{8}$
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	122.	Agio duk. ces.	—
Genua.	—.	Srebra agio	22
Hamburg za 100 tal. banco.	$90\frac{3}{8}$.	Pożyczka 5% $84\frac{3}{4}$. $4\frac{1}{2}$	—.
Konstantynopol	—.	Pożyczka lit. B. . . .	
Liwurno.	—.	Akcye banku . . .	1285
Londyn za 1 funt szterl.	11. 58.	Kolej północna . . .	1735
		Obl. ind.	5%. —

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr.	5 kr.	41 złr	5 kr.	44
Dukat cesarski	„	5 „	47 „	5 „	51.
Półimperyał zł. rosyjski	„	9 „	58 „	10 „	1.
Rubel srebrny rosyjski	„	1 „	56 „	1 „	57.
Talar pruski	„	1 „	51 „	1 „	53
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1 „	24 „	1 „	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	„	92 „	20 „	92 „	30.

4⁰ Obligacye indemnizacyjne 79.

Dla święta we wtorek, numer następny wydawany będzie w poniedziałek o god. 6tej wieczór.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**